



ZIEMIA
GROMA
DZI
PROCHY



PROOF



Elżbieta Józefowicz



ŻOŁNIERZOWI
POLSKIEMU

NAD OZDOBIENIEM KSIĄŻKI TEJ PRACOWALI

BORATYŃSKI WACŁAW • BRYNDZA ANTONI
CZAMAN HENRYK • GAWECKI WITOLD • GRUS
KAZIMIERZ • MIKLASZEWSKI GWIDON • MUCHA
STANISŁAW • NOWAKOWSKI STANISŁAW • PRAU-
ZIŃSKI LEON • PODDEBSKI HENRYK • PIKIEL WITOLD
ŚWIERCZYŃSKI WACŁAW • ULATOWSKI ROMAN S.
URBAŃSKI JAROSŁAW • ZABŁOCKA MARIA • NA
OKŁADCE KOMPOZYCJA WACŁAWA BORATYŃSKIEGO
KSIĄŻKĘ NINIEJSZĄ WYDANA NAKŁADEM DRUKARNI
I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA SP. Z O. O. W POZNANIU
TŁOCZONO I WYKONANO W ZAKŁADACH GRAFICZ-
NYCH DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU POD
ZARZĄDEM FRANCISZKA KUSZA • NAD ROTOGRA-
WIURĄ CZUWAŁ TADEUSZ ŻYŃDA • ŁAMAŁ JEREMIASZ
CHMIELEWSKI • PAPIER Z WŁASNEJ FABRYKI „MALTA”.

J Ó Z E F K I S I E L E W S K I

ZIEMIA
GROMADZI PROCHY

KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

WOLFFENBUTTEL

NIEMEN
GROMADZI PROCH

KSIĘGARNIA SW. WOLFFENBUTTEL

BYLIŚMY NAD LABĄ;
UCHYŁONO NAS ZA ODRE;
PRZEMOC... JUŻ SIĘ I TAM CIŚNIE,
GDZIE NIGDY GERMAN, CHYBA
WĘDROWNY, STOPY SWOJEJ NIE
POSTAWIŁ.

NAUCZONY KŁĘSKAMI SWOJEMI
POLAK... MOŻE ZNOWU POWRÓCI
DO OWYCH WIEKÓW TACYTA, GDY
MIĘDZY GERMANAMI A SARMATY
WZAJEMNA BOJAŻN BYŁA GRANICA...

NIE LEKALI SIĘ NAS GERMANOWIE,
LECZ ANI MY ONYCH, MAJĄC
W REKU RÓWNIE OSTRE SZABLE,
I SKUTECZNIEJ PISZĄC ŻELAZEM
DZIERZAW ZAKRESY, NIŻELI Z CER-
KLEM I Z TABLICAMI.

A. NARUSZEWICZ

PRZEDMOWA DO PRZEKŁADU
„GERMANII” TACYTA



W KSIĄŻCE TEJ...

W książce tej spisałem wrażenia z podróży po Niemczech. Już przed wyjazdem istniał zamiar ujęcia spostrzeżeń podróżniczych w literacką formę. Ale projekt pierwotny był zupełnie inny od tekstu, który teraz wychodzi z druku. Pomiędzy wyjazdem a chwilą rozpoczęcia pierwszej kartki rękopisu zaszły rozmaite ważne zdarzenia.

Chciałem napisać książkę o dzisiejszych Niemczech, powstała zaś praca o sprawach Słowiańszczyzny. Nie posiadałem nigdy rozległych ambicji reportażowych; zawsze pociąga mnie świat, nad którym pisarz ma całkowitą moc, świat literatury, ale to jedno pragnąłem koniecznie poznać, zobaczyć, posmakować i opisać: kraje, które leżą wokół mojej Ojczyzny. Nie odstępowała uparta myśl, że istniejąc w samym środku Europy, zależymy od życia ościennego w stopniu daleko większym, aniżeli najodważniejsi spośród nas chcieliby przyznać. Podróż do Niemiec miała więc być spełnieniem części tych dawnych pragnień.

Wyjeżdżałem bez uprzedzeń i niechętnego nastawienia, a tylko z postanowieniem otwierania jak najszerzej oczu. Ziemie dawnej Słowiańszczyzny znajdowały się w planach podróży, ale zrazu tylko jako jeden z jej etapów. Pierwsze zetknięcie z niemieckim terenem przywiezioną z Polski życzliwość tylko utwierdziło. Nawet spotęgowało. Przyjmowano nas wszędzie gościnnie. Wielki rozmach pracy, jaki się na każdym kroku nie tylko widzi, ale i odczuwa w Niemczech — budził sympatię, zrozumienie i podziw.

Zaszły jednak w czasie podróży sprawy, które i zamiar i uczucie zmieniły. Z początku nie były to rzeczy wyraźne. Aluzje w rozmowach, afisze propagandowe, oglądane muzea, kilka nietaktów mało-ważnych zresztą ludzi. Problem zrodził się dopiero z ilości tych drobnych ukłuć. Pewnego dnia stało mi się jasne, że wjeżdżając w granice Niemiec, wkracza się w sam środek sprawy, nad której wydukiem pracują tam setki mózgów, płuc i rąk, a która jest zwrócona przeciw Słowiańszczyźnie.

Jestem jeszcze i dziś pewien, że nikt ze spotykanych w Niemczech ludzi nie miał intencji uczynienia mi przykrości osobiście, a przecież urażano tam Polaka na każdym kroku. Przypominano niższość rasową, drugorzędność historyczną, nieprzerwaną zależność od ducha i kultury niemieckiej. Stwierdzano, że wszystko, czego się Polska dopracowała w historii — zawdzięcza pomocy niemieckiej. Od pewnej chwili — przy zbliżaniu się do morza — poczęto zarzucać bandytyzm i łupiestwo. „Nie wolno już tego dziś ukrywać — powiedział mi pewien wykształcony Niemiec — że w jednym z okresów historii nieokrzesane bandy słowiańskie napadły na dobrze zagospodarowane i cywilizowane plemiona Germanów siedzące nad Łabą i Odrą i że je

wyniszczyły do szczytu, cywilizację tych stron cofając o kilka stuleci“.

Wszystkie te wynurzenia nie odnosiły się do teraźniejszości. Przeciwnie, przenoszono je w przeszłość, w głęboką przeszłość. Ale nie zmieniało to samej rzeczy. Rozmowy prowadził Niemiec ze Słowianinem i obydwaj zawsze, w każdym wypadku wiedzieliśmy o tym doskonale, że poprzez aluzje historyczne trafiamy w sprawy dzisiejsze. I jeszcze żeby się to wszystko działo gdzie indziej, można by ową zarozumiałą pewność poczytywać za oryginalną właściwość regionalną, ale owe twierdzenia wypowiadano właśnie tam, na tych ziemiach między Łabą, Odrą i Wisłą, właśnie tam, gdzie wystarczy zanurzyć rękę głębiej w nadmorski piasek, aby zaczerwienić się krwią, i wystarczy otworzyć niegłębokie wnętrza ziemi, aby poczęło krzyczeć trwogą i przerażeniem.

Pierwotny plan książki rozleciał się w strzępy. Na czoło wysunęła się ta sprawa: sprawa wielkiej zmywy. „*Drang nach Osten*“ był zawsze wyraźny, ale nigdy jeszcze nie był tak precyzyjnie działającą maszyną, jak obecnie. Poza tym nie był tak zręcznie maskowany. Wszystkie przypomnienia i aluzje odbywają się dziś w ramach słów o przyjaźni. Przyjaciół nie może otwarcie mówić o zaborze, ale jest w pełnym prawie przypomnieć, że nam pożyczył kiedyś kawał ziemi, a teraz prosi o jej zwrot, bo mu samemu jest potrzebna.

Coś z pierwotnego planu jednak zostało. Książka rozpoczyna się tonem nieomal sielanki. Ale czytelnik podczas lektury spostrzeże od razu te miejsca, od których zmienia się charakter reportaży. Wrażenia z podróży są coraz szybsze i powierzchowniejsze. Odcinki kilkusetkilometrowe załatwia się w kilku wierszach. Za to treść się dramatyzuje: od Hamburga aż do samego końca wyrastają przed czytelnikiem przygody z wielkiego dramatu dziejowego. Dotarłszy do Bałtyku, jechałem jego brzegiem już wolno i starałem się wchłonąć jak największą ilość wrażeń. A po przyjeździe do domu zakopałem się na pół roku w książkach, które mi tę trasę Hamburg-Szczecin i Szczecin-Gdańsk raz jeszcze postawiły przed oczy. Były to dzieła, których u nas w kraju przeważnie się nie czyta; ich spis znajduje się na końcu niniejszej pracy.

Tak powstała książka, która przypomina o jeszcze jednym terenie dawnego życia słowiańskiego i polskiego. Podróży nie odbywałem sam. Jeździłem wszędzie z moimi dwoma towarzyszami, z żoną i pasierbicą. Po drodze przyłączali się zmówieni albo przypadkowi towarzysze. Jechał naprzód z nami rzeźbiarz Marcin Rożek, później literat Janusz Stępowski, a w końcu jeden z moich poznańskich znajo-

mych. Były przygody śmieszne i smutne, kłopotliwe i zabawne. A na-
de wszystko wiele było rzeczy do obejrzenia.

Tłem więc książki, materiałem spajającym jej różnorodne ele-
menty, będą obserwacje poczynione we współczesnych Niemczech.
Niech się krzyżuje przeszłość z teraźniejszością. W pewnych chwi-
lach mogą powstać wcale ciekawe analogie.

Praca niniejsza nie jest równym i spokojnym opowiadaniem —
jest dyskusją, obroną i przypomnieniem. W tych rozprawach stano-
wiska stron są nierówne: po jednej stronie rozpiera się efektowny
i pożądany przez racje polityczne mit, po drugiej szara, małoatrak-
cyjna prawda. Dyskusja jest trudna, bo chociaż „klamstwo ma krót-
kie nogi” — jeśli na swoje usługi posiada tak szerokie i tak doskonałe
narzędzia propagandowe, jakimi rozporządza Trzecia Rzesza —
zdolne jest zapuścić korzenie bardzo głęboko. Przekonałem się o tym,
czytając niektóre książki nawet polskich uczonych.

Po rozdziałach wstępnych tekst się dramatyzuje. W pewnych
partiach sięga tonu tragicznego. W tych warunkach mogły się znaleźć
słowa ostre i gorzkie. Na aluzje pojawiają się aluzje, argumenty
odpiera się argumentami, sztychy zostają parowane sztychami.

Ale dociekając prawdy wytrwale i z uporem, strzegłem się wszel-
kiego jątżenia i nienawiści. Chodziło tylko o prawdę. Spod nalotu
zapomnienia, spod dziwnej obojętności ziomków, spod śpiesznej pra-
cowitości obcych — wydobyć zapomniane życie i postawić je przed
oczy współczesnych. Wynik tych zachodów jest taki, jaki być mu-
siał: unaoczniają go liczne mapy i wykresy porozrzucane po całej
książce. Wtenczas, kiedy się zaczynała historia środkowej Europy, na
początku okresu wędrówek ludów — świat słowiański sięgał poza
środkową Łabę, miejscami dochodził do Renu. Taki jest wynik.

W końcowych rozdziałach poruszone zostały sprawy współ-
czesne. Sprawy drażliwe, sprawy nabrzmiałe bólem. Omówione są
otwarcie, bez obsłonek i bez dyplomacji, ale też bez szowinizmu i piany
na ustach. Z faktu, że najnowsza historia Niemiec toczy się na zie-
miach, które są słowiańskie, a częściowo polskie, autor — prawem re-
wanżu — nie wyciąga żadnych wrogich wniosków. Wystarczy mu, że
u niego, w Ojczyźnie, ludzie będą ten fakt mieli w pamięci głębiej niż
dotychczas. I uczynią wszystko, aby ta nieszczęsna ściana zachodnia
nie posunęła się już ani o najdrobniejszą miarę dalej — ku wschodowi.

Książka nie została napisana przez jednego człowieka. Zawiniły
ją okoliczności, a opracowali ją wspólnie z autorem dobrzy i życzliwi lu-
dzie. Muszę więc na tym miejscu złożyć im podziękowania. Należą

się one tym wszystkim, którzy ułatwili wyjazd, tak nieoczekiwanie zakończony. Następnie wdzięczne wspomnienie musi być skierowane ku tym, którzy ułatwili porządkowanie przywiezionego i wyczytanego materiału: pp. dyr. Józefowi Borowikowi, mgr Józefowi Bieniaszowi, ks. prof. Stanisławowi Kozierowskiemu, prof. Józefowi Kostrzewskiemu, dr Zdzisławowi Rajewskiemu, prof. Mikołajowi Rudnickiemu, prof. Kazimierzowi Tymienieckiemu, dyr. Andrzejowi Wojtkowskiemu, dr Karolowi Górskiemu, mgr Tadeuszowi Makarewiczowi, oraz wielu innym. Osobna wzmianka należy się panu Gerardowi Lałudzie za przejrzenie rozdziałów historycznych i ich korektę.

Pisząc te słowa, wspominam równocześnie tych bardzo licznych spotkanych po drodze znajomych i przyjaciół, którzy służyli radą i pomocą, a których dla pewnych względów nie mogę wymienić z imienia i nazwiska. Liczne rozmowy, liczne godziny odpoczynku, spędzone w gościnnych domach polskich na ziemi słowiańskiej, chowam we wdzięcznej pamięci. Ci spotkani ludzie pojawiają się na kartach książki, ale pojawiają się pod zmienionymi nazwiskami. Za doświadczenie trzeba drogo i boleśnie płacić, doświadczenie uczy jednak rozumu niepoprawnych idealistów. Więc wszystkie znajdujące się na tych stronicach nazwiska są zmienione, zmienione są również niektóre nazwy miejscowości. Zarówno jednak ludzie, o których tu mowa, jak i miejsca, na których toczy się akcja reportażu — są prawdziwe, dojmująco prawdziwe.

Podziękować również muszę Działowi Wydawniczemu Księgarni Św. Wojciecha, która tę książkę zgodziła się wydać. Książkę wyposażono w kosztowną szatę graficzną, nie wahając się wziąć na siebie ryzyka, jakim jest wydawanie drogich książek.

A skoro już mowa o wdzięczności, to wyrazić ją pragnę w sposób szczególny temu, komu się ona specjalnie należy, inspiratorowi strony graficznej książki, mgr Kiriłowi Sosnowskiemu. Włożył on w karty tego wydawnictwa tak wiele pracy, troski i pamięci, że bez przesady można powiedzieć w tym wypadku o współautorstwie.

Na zakończenie jeszcze jedno. Książki tej nie pisał naukowiec, pisał ją literat. Z tego faktu wypływa sposób napisania, technika reportażowa i styl.

W historii Słowiańszczyzny nadbałtyckiej jest pewien okres, okres dość długi, który zniewala fantazję bardzo silnym, choć nie pozbawionym gorzkości urokiem. To czasy wczesnohistoryczne, kiedy przewalają się po tych na wskroś słowiańskich ziemiach rozmaite szczepy, ludy i rasy. Ukształtowanie terenu pod względem politycz-

nym zmienia się bezustannie. Co powstanie jakaś trochę stalsza forma polityczna, nacierające wypadki ją rozbijają i przekształcają. Wszystko jest w ciągłym ruchu, wrzeniu i twórczym zamęcie. Ukrop kotłuje się w tyglu wielkiej historii. Świat jest świeży i jeszcze gorący. Jakby co dopiero wyszedł z formy Boga Stworzyciela i jeszcze nie okrzepł. Dymi się i paruje. Przed nim wszystkie możliwości kształtu i rozwoju.

W tę grę wielkiego aktu tworzenia wmieszały się na nieszczęście również i siły niszczące.

**Nie jesteście tu
od wczoraj**



**SIEGALIŚMY
daleko na Zachód**